Nro 42.

TYGODNIK POLSKI.

Pismo poświęcone literaturze, obyczajom i strojom.

Lwów, 14 Października 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota. Przedpłata z rycinami, rocznie 10 zr., półrocznie 5 zr., bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. m. k. Na prowincyi dopłaca się za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. m. k. We Lwowie przyjmuje się także prenumerata kwartalna, z rycinami 2 złr. 30 kr., bez rycin 1 złr. m. k. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem wydawcy, Tomasza Kulczyckiego, nr. 301 we Lwowie.

Drugi jezuityzm.

Ośmnaście minęło wieków, jak pieśń aniołów, zwiastująca pasterzom w polu narodzenie się zbawcy świata w ubogiej stajence betlejemskiej, na łonie uciekającej przed ukoronowaną tyranią rodziny wygnańczej — zapowiedziała ludom przyjście wieku wolności, równości i braterstwa. Przez ośmnaście wieków oczekiwała ludzkość spełnienia dzieła, które boski wychowanek judejskiego wychodźcy zapowiedział, a które wiara i nadzieja całego uciśnionego świata prostaczków dopiero od lat niewielu do zupełnego ziszczenia zbliżającem się widzi. Przez ten długowiekowy przeciąg dwie główne niewole tamowały to dzieło, gniotły ludzkość — niewola ducha i niewola miecza, niewola kościelna i niewola cesarska, monarchiczna. Obiedwie ścierały się w prawdzie ze sobą i przeszkadzały sobie nawzajem, tymczasem jednak narody jęczały pod obudwoma. Naprzód zachwiała się niewola duchowna, runęło samowładztwo kościelne, ale upadając wydało okropną plagę, niejako krystalizacyę wszystkich zawartych w sobie, gnębiących i podlących ducha żywiołów — wylęgły z gniazda św. inkwizycyi zakon jezuicki, jezuityzm.— Po upadku tyranii duchownej, posiłkowana jezuityzmem, zaciężała nad światem tem okropniej druga niewola, niewola monarchiczna, królewska, oparta, jak tamta na skale św. Piotra, tak ta na skale płatnych wojsk stałych. Nareszcie jak niewoli duchownej, tak i niewoli świeckiej przychodzi runąć, ale jak wszystkie zgubne żywioły tamtej skoncentrowały się w chwili upadku w jezuityzm, tak i wszystkie ohydne żywioły tej, koncentrują się w chwili dzisiejszego jej upadania w szeregi wojsk płatnych, w armie. I owo pozbywszy się jarzma duchownego, pozbywając się do reszty plagi jezuityzmu, mamy przy odbywającem się przed naszemi oczyma waleniu się tyranii monarchicznej przebyć jeszcze— o! i zapewne nie tak szybko, jakbyśmy w radosnem upojeniu radzi byli przypuszczać — spłodzoną przez nią plagę żołdacką, plagę zbrojnej reakcyi, plagę bombardamentow, stanu oblężeń i t. d.

I owo duch ciemnych wrogow ludzkości, wygnanych sromotnie z Lucerny, z Wiednia, ze Lwowa, wcielił się jak szatan, któremu imię legja, w zgraję komendantów fortec, feldmarszałków, hauptmanów, adjutantów. — Uciekając co siły, podkasali sobie czarni ojcowie płaszczyki i przemienili je tak w kolety. Szerokie kapelusze pochowały się pod pioropusze jeneralskie. Do trzewików, któremi królow i ludy deptali, przypięli sobie ostrogi i pobrzękiwali niemi wesoło w Neapolu, w Pradze, w Krakowie, we Frankfurcie, a zamiast Eskowar albo Sanchez przezwali się: Nunziante, Jelaczyc, Windiszgrec i t. d. Dawne ich łowy na kacerzy przeistoczyły się teraz w łowy na demokratów. Wszystko bowiem zmienia i przekształca się z czasem. Naramiennikami ciemnoty i służalstwa są teraz nie fałdziste zarzutki czarnej sukienki, lecz epolety. Na sanbenitach, które zawsze w pogotowiu ofiar czekają, widzisz zamiast dawnych malowanych płomyków — pękające kartacze. Kropidłami ich dziś — armaty, wodą święconą — race kongrewskie, amuletami — śmiertelne blizny, obrazkami — miasta w płomieniach. Jako demagogowie w najgorszem znaczeniu tego wyrazu, tj. jako obrabiacze mas, zwodziciele ludu, aby go w ciemnocie utrzymać, na

swoją korzyść łupić — muszą oczewiście nienawiedzić do zgonu tych, którzy lud odwrotnym sposobem obrabiają, aby go o jego własnej korzyści oświecić, demokratów. Toć oni w kacerzach tożsamo nienawidzą co w demokratach. Będąc z urodzenia nieprzyjaciołmi ludzkości, nie cierpią oni jej najsrożej tam, gdzie ona w całej swojej potędze i wielmożności się okazuje, tj. jest w ludzie. Jak zaraza morowa rzucają się oni najchętniej na zgromadzenia, na gęste tłumy. Każdy z nich jest uosobnioną dżumą, zakradającą się chciwie na place publiczne, gdzie człowiek w swobodnem społeczeństwie, jako towarzyska istota zbiorowa, jako wielka, samowładna i samorządna gmina, w najprawdziwszem i najpiękniejszem przeznaczeniu swojem widzieć się daje. Wkrada się zaś ona dżuma pomiędzy tłumy, aby je wszystkie jednym pochwytem szponow zdusić i zdławić — jak niegdyś pojedynczych kacerzy. Bo też tak zwane kacerstwo dążyło także tylko do tego, aby w masach żądzę samopoznania, pragnienie nabycia świadomości rzeczy, mianowicie pojęć religijnych, przez własne badanie wzbudzić. Były to pierwsze próbki wykształcenia ludzi z ich pierwotnego, bryłowatego, elementarnego stanu, niejako z surowego materyału, z masy. Tłum uczłowieczyć, w społeczność wolnych, świadomych siebie, o wzajemne swe dobro pieczołowitych istot rozumnych rozwinąć — oto właściwy, lubo jeszcze niekiedy zamglony cel, do ktorego dążyła opozycya religijna, wolność wyznania, przebijająca się przez życie owczesne jako wyklęte z góry kacerstwo. Teraz dokłada ona jako demokracya ostatnich usiłowań ku oswobodzeniu ludu, ku zindywidualizowaniu pospólstwa w społeczność wolnych, szczęśliwych ludzi. Nie maż tu piekielna złość odwiecznego wroga rodu ludzkiego zawrzeć na nowo? Nie maż i on także objawić się teraz w swojej pierwotnej postaci i barwie, jako duch ślepego posłuszeństwa? jako ów moloch, którego głód tylko na tłumach, na pospólstwie, na ludzie zaspokoić się może? którego wązka paszcz a ogromny brzuch połyka ludy masami — jak wieloryb śledzie beczkami? Demokracya chce znieść na zawsze pospólstwo; ten potwor szatańską sztuką unieśmiertelnia je i pielęgnuje. Demokracya chce zrobić ludzi z masy; ten smok radby cały rod ludzki przeistoczyć w jaskinię cyklopów, w olbrzymi magazyn ścierwa ludzkiego, masy ludzkiej. Demokracya pragnie urzeczywiszczenia wolności, rowności, braterstwa; ten duch dąży do wieczystego rozbratu ludzi, do podziału człowieczeństwa na bydło jatkowe i rzezników przy pałaszach i ostrogach. Węzłem powinowactwa chciałaby demokracya wszystkie ludy skojarzyć — owa furya chciałaby je wszystkie w morzu krwi udusić, aby je potem widłami albo bagnetami po jednemu bez życia ku swojemu czartowskiemu uradowaniu z głębi dobywać, jak szatani w „Piekle“ Dantego, albo jak ona szatańska sfora żołdactwa kolońskiego, która niedawno w podobnejże krwiożerczości wyłowiła z Renu troje zamordowanych dzieci — trzy swojemi pałaszami i hakami porozdzierane trupy dziecięce...

Jezuityzm i militarny despotyzm — to jeden duch, jedno tchnienie. Tezsame u obojga cele, teżsame środki. Władanie masami, a ku dopięciu tego — wieczysta niezgoda, wieczyste podżeganie społeczeństwa do wojny wszystkich przeciw wszystkim. Machinalne ułożenie, niewolniczość, bezduszne posłuszeństwo — to ich środki; żądza władzy, chciwość wytępiania, zadowolenie swojej gardzącej ludzkością pychy, rozkosz panowania — to ich najwyższym celem. A oba te despotyzmy, zlawszy się w jedną osobę, probują teraz ostatniej taktyki, tj. sprzymierzenia się z pospólstwem, z dzikiem lazarońshvem społeczeństwa, z swoim utworem i narzędziem, przeciwko demokracyi. Śliski i daremny wybieg! Zapominają bowiem, że proletaryat jest owym smokiem, ktory wychodząc z łona macierzyńskiego, rodzicielkę własną zabija.

Opierając się na jednej i tej samej zasadzie, na arcypodłości natury ludzkiej, kładzie sobie kościelny i militarny jezuityzm za główne zadanie — karne udresowanie człowieczeństwa, któreby posłużyło do dowolnego używania ludzi, jak martwej rzeczy, za ślepe narzędzie w ręku bluźnierczej zarozumiałości. Człowiek nie powinien mieć innego uczucia, jak tylko uczucie swojej niegodności, swego nicestwa, swojej bezwarunkowej zawisłości od najwyższej łaski, która tam — jest łaską jakiegoś własnemi rękami ulepionego bożyszcza, dającą się tylko orędownictwem i szafarstwem jego czarnych bonzów uzyskać — tu zaś łaską ukoronowanego bożyszcza ziemskiego, do której tylko hierarchja militarna, archanielskim mieczem uzbrojona straż pretoryańska, za pośrednictwo służy.

Ale drzyjcie! Jezuityzm przy ostrogach skończy jeszcze sromotniej niż dawny w czarnej sukience. Ten przynajmniej solidarnie za swoich spólnikow odpowiadał; tamtemu padnie los rogatego Akteona, którego własne psy w sztuki rozdarły.

Demokratki niemieckie.

Dziwną zaiste jest rzeczą, iż w tegoczesnem zawichrzeniu wszystkich kwestyj politycznych i społecznych, kwestya emancypacyi kobiet, żadnego prawie nie znalazła wyrazu. Zdaje się nawet, jakoby wszelkie kwestye zasad stać się miały podrzędnej dla kobiet wagi, a cała ich usilność poświęconą była spra-

wie czystej ludzkości i miłości, albo jak we Włoszech i w Polsce, sprawie ojczystej. Tylko w teoretycznych Niemczech nie mogły się kobiety od czynnego udziału w zapaśnictwie zasad powstrzymać. Dowiadujemy się o kilku szeroko tam rozkrzewiających się demokratycznych klubach żeńskich. Pierwszy powstał w Wrocławiu; drugi zawiązał się w Berlinie i odbywa publiczne i bardzo licznie, bo przez kilkaset dam uczęszczane posiedzenia. Z początku okazywały demokratki w obecności męzkich słuchaczy cokolwiek trwożliwości i musiano ich często z sali wypraszać, zwłaszcza gdy przyszło do głosowania podniesieniem rąk, co całą radę niewieścią najwięcej kłopotało. Jednakże powoli oswoiły się zgromadzone panie z obyczajami parlamentarskiemi, i obradują, wotują, popierają i zbijają się na piękne. Obrady rozpoczęto dyskusyą nad wyrazem „demokratyczny“ i zadano sobie pytanie, czy ten przymiotnik może być właściwym stowarzyszeniu kobiet. Demokracya bowiem znaczy „panowanie ludu“, a demokratki berlińskie nie chcą nikomu panować! Przy głosowaniu za przyjęciem wyrazu podniosły się dwie ręce, przy próbie odwrotnej, przeciw przyjęciu, tylko jedna. Przypuszczono więc, iż większość jest za przyjęciem. Następnie zwróciła prezydentka uwagę zgromadzenia, iż w dzisiejszych burzliwych czasach potrzeba przedewszystkiem — szarpi; niech tedy każda demokratka ma ich podostatkiem w zapasie i przy każdem uderzeniu na alarm, staje z niemi w pobliżu boju. Jednogłośnie przyjęto. Dalsze obrady tyczyły się założenia wielkiej garkuchni dla ubogich i zakładu wychowawczego dla ludu. Osobliwie w tej ostatniej sprawie zaszły ciekawe okoliczności. Towarzystwo wyprawiło niejaką pannę Holzhauer w deputacyi do hr. Szlipenbacha, który zawiaduje podobnemiż zakładami wychowawczemi. Chciano projektowany zakład z jednym z jego zakładów połączyć. Atoli rozpoczęte przez piękną deputowanę układy nie doprowadziły do celu, ile że hr. Szlipenbach, zawzięty reakcyonaryusz, tylko takim dzieciom miejsce w swoim zakładzie ofiarował, których ojcowie przyrzekną nie uczęszczać na żadne zgromadzenia ludowe. Miasto więc połączenia się p. Szlipenbach uchwaliły demokratki rozbić jego własny instytut. Dopiero po żarliwej nad zapadłą już uchwałą rozprawie, stanęła poprawka, dozwalająca hr. Szlipenbach zajmować się wychowaniem dzieci do 6 roku; starsze zaś mają koniecznie pod nadzor wychowawczyń demokratycznych być wzięte. W taki sposob, gdyby broń boże, reakcya w płci męzkiej podporę nadal znachodzić miała, przyszłoby do tego, że mężczyzni drobne dziatki piastowaćby musieli a płeć niewieścia tylko dorosłemiby się trudniła. W ciągu rozpraw nad tymże samym przedmiotem ozwała się panna Lucya Lenc: „Nie tylko na dzieci ale głównie na słuszne osoby należy mieć wzgląd w naszym systemie wychowawczym. Jest tyle ubogich istot, mianowicie pomiędzy szwaczkami, które częścią z zupełnego braku roboty, częścią też skutkiem okropnej niestosunkowości między zapłatą a pracą, okropnemu zepsuciu uległy. Niewzdrygam się mówić o tych moich nieszczęśliwych, grzesznych siostrach. Łatwo jest spoglądać na te niebogie z pogardą, jakoby one wieczną, niczem nie powetowaną hańbą okryte były. Wszakże zważmy, że one właśnie największego z naszej strony potrzebują współudziału, i nawet nań zasługują, nie mając nawet tej jednej pociechy, jaka zwykle każdemu nieszczęściu towarzyszy, pociechy niewinności. One to właśnie będą mi najpożądańszemi, najmilszemi uczestniczkami naszej pieczołowitości, gdyż będą miały najwięcej do nauczenia się między nami, i z prawdziwą też miłością siostrzyną przycisnę je do serca.“ Mowę tę, wygłoszoną z najserdeczniejszym entuzyazmem, przyjęto grzmiącemi oklaskami. Obrady nad tą sprawą zakończono tymczasowie uchwaleniem petycyi do zgromadzenia narodowego o zajęcie się poprawą losu biednych szwaczek, zostających pod tyrańskim uciskiem pryncypałów i pryncypałek.— Do najważniejszych wreszcie postanowień towarzystwa należy zobowiązanie się nie noszenia innych sukień jak tylko z wyrobów krajowych. Ogół publiczności spogląda z upodobaniem na te liberalne usiłowania domokratek, a pisma wyrażają się o nich jaknajpochwalniej.

Pielgrzym Bazyli.

W imienniku Ludwiki P. w r. 1838.

Wzbijajcie, ty i twoje rowiennice
Swe dusze z życzeń ogniami;
Stadem jak białe wzlećcie gołębice
Ponad nami pielgrzymami.

Wzbijcie się w obłok na niebie śnieżysty;
Bądźcie nam słup ów śrebrzysty,
Który do siebie związał w wiekach cudu
Oczy Mojżesza i ludu.

Słup ten niech wiedzie nas z niewoli domu
Do udzielności ogromu;
Z bezdna nam morze na ściany rozstrzeli,
W przepaści drogę uścieli.

Zsunie na wrogów spiętrzone bałwany,
Zgładzi niosących kajdany;
Manną nakarmi nas hojnie z narodem,
Zmorzonych pielgrzymką, głodem.

*

Tryśnie na nasze pragnienia upały
Zdrojem z suchych bioder skały;
Aż nad zakonów naszych górą stanie,
Z góry ześle Przykazanie.

Kasper Cięglewicz.

„Uczynek“

Powiastka przez *Marją z Ch. P.*

(Ciąg dalszy.)

Gdy Włodzimierz wracał ku miastu, raz jeszcze przyszła mu biedna dziewczyna na myśl. Każdy ruch jej, każde słowo, chociaż nacechowane prostotą, dziwnie było poetycze, a postać w całem ubóstwie swojem, jakoś nader zajmująca. Żałował iż tak mu znikła bez śladu, i że nie będzie mógł dla niej nic uczynić. Jednakoż uspokoił się wkrótce Włodzimierz, który w każdem zdarzeniu lubił widzieć wolą boga, tą myślą, iż dziewczyna ta oddana może już tak za młodu zepsuciu, nie jest godna bliższej jego opieki, skoro bóg nie dozwolił mu przypatrzyć się zbliska jej losom i dopomódz jej nieszczęściu.

Gdy przyszedł do swoich towarzyszy, było już nad rankiem. Nie zawiódł się; szukano go wszędzie i obawiano o niego. Życzliwy mu i lubiący go nawet Herszko szukał go szczerze po wszystkich kawiarniach i miejscach schadzki młodych paniczów, gdyż szukać go w polu o takim czasie i znaleść wpatrującego się w gwiazdy, nigdyby do głowy nie przyszło Żydkowi, który szczerze w to wierzył, iż od czasu jak jeszcze mędrcy ze wschodu szli za gwiazdą prowadzącą ich do Betlejem, nikt jeszcze po nocy gwiazd nie upatrywał, lecz wolał siedzieć pod dachem przy zastawionym stole lub spać tak jak on w wygodnych betach.

Ujrzawszy wracającego Włodzimierza, ucieszył się prawdziwie, co mu jednak nie przeszkadzało narzekać, że się zlatał jak pies za panem kolegą, i prosić o nagrodę że go szukał. Włodzimierz zbył swoich kolegów wymyśloną powieścią iż istotnie kogoś uciekającego śledził, co go wyprowadziło daleko za miasto; a gdy się przekonał że biegł za złudzeniem, nie mógł się oprzeć nęcącym powabom nocy i nie podumać trochę wśród natury świeżo skąpanej deszczem i oblanej srebrem xiężyca błyszczącego na każdej trawce ziemi. Koledzy żartowali z niego, a starszy napominali iż tak się nie należy porzucać służby, a gonić za marami.

II. *Xiądz pleban.*

Nie wiem dla czego — ale to słowo pleban, plebania, obudza zawsze we mnie wyobrażenie jakiegoś spokoju w życiu, jakiejś godności, przed którą czoło moje się schyla. I chociaż może nie wszyscy plebani zasługują na cześć wiążącą się zwyobrażeniem o tym stanie, rzecz sama przez się, urząd swięty pasterza dusz nie przestanie być nigdy najzaszczytniejszym ze wszystkich urzędów, piastowanych przez ludzi, i pomimo wyjątków niekiedy, nie przestanie przedstawiać nam często wzory godne tej czci, którą samo nazwisko plebana i plebanii, jako domniemywanego siedliska cnót w nas budzi. Wszakże zródło cnót wszelkich powinno wypływać od stróżow religii czyli moralności, to jest: od pasterzy naszych; dla tego też z tamtąd zwykliśmy wszelkiego pragnąć zbawienia; w rękachto pasterzy duchownych przyszłe nadzieje nasze; ich pracy zostawiony przyszły obywatel żołnierz w wieśniaka dziecku, na nich spoczywa po większej części oświecenie ludu i obudzenie wyższych uczuć— czego już dali szczytne i męczeństwem zapieczętowane dowody. Tak więc święte, tak szlachetne stanowisko, jakiem jest nauczyciela ludu wmoralnym i religijnym zawodzie, zapewnia duchownym pierwsze i najszczytniejsze miejsce w towarzystwie ludzkiem, jeźli go zajmie z godnością i jest praktycznie wzorem moralności i wszystkich szlachetnych uczuć dla swoich parafian, wspierając słowem bożem i słowem swojem trudną lecz najskuteczniejszą naukę przykładu w rzeczywistem życiu.

Widok poważnego pasterza dusz, który moralną władzą panuje nad duchem ludu mu powierzonego, jest jednym z piękniejszych obrazów tego świata, w których się ludzkość rozwija. Wtedy to skromna szata duchownego, błyszczy więcej niż monarchiczną dostojnością, bo zdobna władzą nad sercem i umysłem ludu, nieścieśnioną niewolniczo prawami koniecznego posłuszeństwa, lecz dowolnem i prostodusznem wylaniem serc i nieograniczoną ufnością wswym przewodzcy w pielgrzymce ziemskiej i wiecznej. Bo któż jeżli nie pleban może dokładniej znać najtajniejsze skrytości serca i sumienia ludu, któż jeźli nie on patrzy na jawne jego czyny od dzieciństwa?... komuż jeśli nie jemu otwiera spowiedź wstęp do tajni jego duszy?... Jakiż więc wpływ wielki, ile dobrego pleban zdziałać może! Jego wszechwładztwo jego zasługi są niepoliczone a jego dostojność najszlachetniejsza. I komuż się niepodoba ten obraz plebana, skreślony przez Delilla:

Czy widzisz to probostwo skromne i chędogie?
Tam żyje człowiek w bogu; święty urząd jego
Przedstawia niebu razem prośby ludów mnogie,
Otwiera skarby nieba w chacie ubogiego.
Swięci małżeńskie śluby i nieszczęście wspiera,
Błogosławi owoce, siewu porę radzi,

Uczy cnoty, w kolebce człowieka odbiera,
Kieruje jego życiem, do grobu prowadzi.
Niewybierałbym nigdy na ten urząd święty,
Chciwego intryganta, któren bogactw woła,
Któren sobie pobłaża, dla innych niezgięty,
Zbiorów łaknie, opuszcza potrzeby kościoła,
Ubliża swoim tonem pasterskiej godności,
Duch czasu jego zmienną moralność stanowi. —
Wierny swym obowiązkom, wart trzód swych miłości,
Prawdziwy pasterz temu podobny dębowi,
Co zabawom wieśniaków użycza opieki,
Od stu lat rzuca na nich swe krzepiące cienia,
A jego gałęź świeża zwyciężając wieki
Patrzyła na śmierć ojców i dzieci rodzenia.
Przez swoją mądrość, dobroć i roztropne rady,
Drugą on się dla chatek opatrznością staje.
Dobroczynności jego uszłyż nędzy ślady?
Bóg sam wie o nieszczęsnych którym wsparcie daje.
Często w ustroniu biednych, gdzie nieszczęście łączy
Razem: boleści, nędze i skonania tchnienia,
On przychodzi; a boleść łzy mniej gorzkie sączy,
Smierć traci swą okropność, nędza uciśnienia.
Kto zabiega potrzebie, ten zbrodnie uprzedza.
Biedak go błogosławi a bogacz szacuje;
A kiedy dwóch śmiertelnych niezgoda nawiedza,
On ją z serc ich oddala, zgodę nakazuje.
Jakiż widok przewyższy tę wieś w spaniałości,
W której pasterz buduje, mędrzec radość sieje!...
Gdzie w modliwach pierwszego, w drugiego litości,
Są skarby ubogiego i chatek nadzieje.

Takim to pasterzem Delilla był wuj Włodzimierza, poważany, bo umiał sobie poważanie zjednać, a jednak nigdy smutny, bo wierzył w wieczność i uśmiechał się do niej, pomijając nędze żywota tego. Tę więc wiarę i tę wesołość w przykrej doczesnej podróży, chciał przykładem wzniecić w swoich parafianach, i jeżeli nieszczęśliwy lub grzeszny zbliżał się do niego, widział już naprzód w uśmiechu pełnym dobroci pociechę lub przebaczenie.

„No—no, i cóż tam sąsiedzie“, zwykł był mawiać do swoich parafian, „cóż mi tam powiecie?.... jeżeli co dobrego, to bóg wam zapłać, że się ze mną waszą pociechą dzielicie, a jeżeli co złego, to pomyślcie, że niema nic złego, coby na dobre nie wyszło, a już i to dobrze, mieć przyjaciela i szczerego doradzcę, a ja wam nim będe z całej duszy i serca.“

Po takim to właśnie duchownem wsparciu jednego ze swoich parafian wyszedł pleban na ganek z Włodzimierzem, i usiadł na siwej od starości, drewnianej ławce, którą ocieniały ciernie wirginijskie, pnące się to po białej ścianie plebanii, to tworząc płot żywy wzdłuż domku od przodu, za którym znajdowała się uliczka pomiędzy ścianą a zielonym płotem, tworząca rodzaj otwartej galeryi przykrytej z wierzchu szerokiem poddaszem, niby opiekuńczą domku starannością wygiągającego swe ochronne ramię, aby w dnie słotne spokojny i szczęśliwy jego mieszkaniec mógł używać świeżego powietrza i patrzeć na świat boży, który mu się zdawał zawsze piękny i miły, bo dusza jego spokojna i czysta rozjaśniała wszystko w około niego.

„No—no“ mówił pleban do swego siostrzeńca coś mi waść smutny od dni kilku?... Czy smutny czy nie wyspany?... Patrole nocne może nie wszystkiej naszej młodzi przypadają do smaku?... We dnie to ale, być gwardzistą, brzęczeć szabelką po bruku i zwracać na siebie oczy pięknym polskim mundurkiem i szlifami. Ale włóczyć się po nocy, nie spać, i wystawić się na niepogodę, a może i nie na jedną nieprzyjemną przygodę, to na to trzeba zucha, co to stać go, być żołnierzem duchem i sercem, siłą, zdrowiem, a nie samą tylko sukienką. To nic lato, kiedy iskrzące niebo gwiazd tysiącem patrzy wesoło w oczy gwardziście i wyobraźnią jego zapełnia tysiącem planów waleczności, poświęceń, i usług dla ojczyzny, ale jak przyjdzie zima, a toż samo niebo wyiskrzy się na mróz tęgi, obleje zimnem gdyby ukropem, daj boże aby i zapał dzisiejszy nie ostygł.... a cóż dopiero zawierucha“....

„Spodziewam się że wuj kochany nie do mnie to stosuje, bo natenczas nie mowiłby tak wesoło w tym przedmiocie, który bardzo blisko i dotkliwie tyczyłby się wuja. Któż bowiem jeźli nie wuj kochany staczał walki z moją matką, aby miękko i zniewieściało nie wychowywała syna?.... A coż boleśniejszego jak widzieć nieudane swoje dzieło, nad którem tyleśmy lat pracowali? Tak, wuju kochany, wszystko czem jestem, tobie winienem. Jeszcze dziś widzę jak dobra, bardzo dobra, kochana matka moja obciera łzę z oczów nad mniemaną surowością wuja dla mnie, i widzę twarz twoją, wuju, przybierającą się w niezwykłą surowość, a słowa mniej więcej podobne sobie wychodzące z ust wuja: Pamiętaj Regino, że bóg dając ci syna, wielką odpowiedzialność włożył na ciebie, syn to nie lalka do ubierania, ani cacko do zabawy, ale mąż do kształcenia, któryby w każdym razie był zdolny nieść pomoc ojczyźnie i ludzkości, czy ona potrzebować będzie jego ramienia, czy serca, czy głowy. Pamiętaj więc aby syn twoj miał silne ramię, dobre serce i tęgą głowę. — A gdyś to mówił mój wuju, gdyś patrzył na mnie i na zakłopotanie i rozrzewnienie matki mojej, skończyłeś także na milczącem rozrzewnieniu i odwracałeś twarz od nas, aby

matce nie potakiwać w tkliwości, którą mnie zawsze otaczała."

„Jesteś przybranym synem moim, a mimo surowości, w której chciałem cię wychować, kochałem cię tak a może i więcej jak wielu innych, którzy się wychowali za moją radą, czerstwo na duszy i ciele. Miło mi patrzeć na nich i cieszyć się przybraną familią, skoro nie mam własnej."

„A byłbyś tak dobrym ojcem, mój wuju", rzekł Włodzimierz całując w rękę plebana.

„Lecz będąc dobrym ojcem dla własnych dzieci, może nie mógłbym być nim dla cudzych. A to jest: dla sierót zostawionych przez boga na opiece tych, co są sami na ziemi. Świat nasz potrzebuje zawsze ofiar. Potrzeba abyśmy się poświęcali jedni dla drugich; mamy w tem przykład zbawiciela który umarł dla całej ludzkości na krzyżu. Pasterz ludu, czyli ojciec duchowny, wyrzec się powinien wszelkich egoizmem tchnących uczuć, słowem zrobić ofiarę z siebie dla ludzkości. Czyż nie jest piękne powołanie nasze?"

„Piękne, szczytne mój wuju!... Ale zdaje mi się oraz przykrem i smutnem. Człowiek jak tylko poznaje siebie, jużby wszystko chciał nazwać swojem, wszystko go cieszy, i chciałby choć w cząstce we wszystkiem, co bóg stworzył dla człowieka, mieć udział. Każde uczucie, każda rozkosz która go ominie, jest straconą na wieki. Na wieki mój wuju! Bo tam w górze świat inny, tam inne rozkosze, nam nieznane; a nie wielu jest usposobionych, tak jak ty mój wuju, przeczuwać pewno to szczęście przyszłości i gonić za nim pomijając wszystkie rozkosze ziemskie. Ja nie mógłbym być xiędzem, nadewszystko bezżennym — ja potrzebuję zawsze kogoś, kogobym silniej kochał jak samą miłością ludzkości, a węzeł tej miłości familijnej musi się dziergać jeden za drugi i jak ogniwa łańcucha prowadzić mnie miło aż do deski grobowej."

„Widzę mój synu, iż nie jesteś z tych wybranych, którym jest dano przeczuwać w sobie szczęście w przyszłości już tu na ziemi i pomijać jej rozkosze bez żalu i zazdrości. Złej przez to opinii nie mam o tobie, bo w każdym zawodzie można wiele dobrego pełnić, a wreszcie na małą tylko garstkę ludności przypada obowiązek być duchownymi przewodnikami narodów i poświęcić im własne szczęście. A może nawet ofiara życia samotnego nie jest koniecznie potrzebną, aby być dobrym pasterzem ludności, którą preznaczenie oddało pod naszą duchowną opiekę. Często teraz przy ruchu powszechnym i zmianach tak znacznych, rzucają kwestyę o zniesieniu celibatu xięży obrz. łac. — Nie widziałbym w tej zmianie nic przeszkadzającego do wypełnienia obowiązków przywiązanych do stanu duchownego. Wszakże xięża ruscy i pastor ewangielicki, pełnią dokładnie swe obowiązki względem ludu, mając własną familią. A xiądz bezżenny tak się stara o pomnożenie swoich dochodów i krząta się również pilnie około gospodarstwa jak i xiądz żonaty, a nieraz — o zgrozo! dochody uskładane, które xiądz ruski z prawą swoją familią zużytkuje, przechodzą nie w ręce ubogich od xiędza bezżennego, lecz na osoby, zakałę tylko niosące zaprzysiężonemu celibatowi. Stan duchowny jest to urząd jak i każdy inny; wszakże urzędnik cywilny, żołnierz lub pospodarz, nie siedzi od rana do wieczora w gronie swojej familii, lecz w miejscu w które go jego urzędowanie woła, a chwilkę odpoczynku, z której nawet i sam bóg rachunku jako z przepróżnowanej nie zażąda, poświęca swojej familii. Powiedziałbym nawet, iż xiądz bezżenny nie jest w stanie nauczać obowiązków, w których sam praktyki nie miał; a stan ojca rodziny jestto trudna szkoła, którą samemu przejśćby może potrzeba, aby módz skutecznie działać na zwaśnione nieraz umysły rodzin. Rozmyślałem nad tem nieraz, gdy w którym kraju poruszono kwestyę o zniesieniu celibatu, i znalazłem, iżby w obowiązkach pasterza dusz, przy tej zmianie, religia katolicka nic nie utraciła, a moralność może zyskała. Zaczem nie to byłoby upadkiem moralności, że xięża mieliby żony, lecz to, gdyby nie żyli przykładnie. Czyż wzór dobrego małżonka i ojca, jakiego mógłby mieć w pasterzu swoim parafianie, mógłby źle wpłynąć na ich obyczaje?... gdy teraz od niejednego błędu swego pasterza muszą parafianie odwracać oczy, i szanują przecież sługę bożego, jeżeli nie ze wszystkich cnót wyzuty, mówiąc te pobłażające słowa: I on jest człowiekiem! a zatem ułomny. Jakąż więc czcią byliby przejęci, gdyby korona cnót wszystkich zdobiła czoło ich pasterza?... O pewnie wtedy w parafii cnotliwego plebana mało byłoby występnych."

„Tak jak w twojej parafii, kochany wuju."

„Czyniłem co mogłem. Bóg mnie przynajmniej za niedbałość około powierzonych mi dusz nie pociągnie do odpowiedzialności; a za tych których nawrócić nie mogłem, modlę się do boga. I teraz umarł w mojej parafii człowiek z gruntu poczciwy, lecz pijak; płakał przed występkiem, płakał po występku, a przecież pił. Pijaństwo jego było istotnie wielkim występkiem, bo miał familią i wtrącał ją w ubóstwo. Pracując nawet, grzeszył; bo pracował dla tego tylko, aby miał pić za co; słowem, gdyby nie ta wada, Szymon Capstrzycki byłby najszczęśliwszym człowiekiem i ozdobą mojej parafii.—

„Szymon Capstrzycki? gwardzista z którym przed kilku dniami chodziłem na patrol w nocy?“... zawołał boleśnie zdziwiony Włodzimierz.

„Ten sam, twój kolega. Musisz być jutro na jego pogrzebie i oddać ostatnią posługę bliźniemu i koledze.“

„Będę najchętniej, wuju.“

„Dobrze mój synu, ale teraz posłuchaj mnie dalej. Z tego co mówiłem, mógłbyś wnosić, iż jestem kontent ze stanu mego, i żałowałem, żem do niego wstąpił. Byłbyś w błędzie Włodzimierzu. Ja zostałem xiędzem z powołania, to jest: z głosu wewnętrznego, który nas woła do samotności, do rozmyślania o bogu i do zasłużenia sobie na spokoj wieczny. Lecz mało jest xięży z prawdziwego powołania; najwięcej szukających pomieszczenia w świecie. Tym sposobem zapierają się wrodzonych skłonności i gustów; walczą z niemi z początku, uniesieni zapałem dokonania przyjętych obowiązków; wcześniej jednak czy później zwalczeni namiętnością, zostają ludźmi nie na swojem miejscu. Dla takich więc celibat jest prawem kłócącem ich z samemi sobą, z całym światem i z sumieniem.“

„Jednakże mój wuju, chociaż ja sam nie czuję w sobie powołania być xiędzem i do tego nie żonatym; uznaję iż to poświęcenie zupełne istnienia swego bliźnim, to osamotnienie się istotne, ażeby żyć tylko dla społeczeństwa i jego dobra, jest najszczytniejszem powołaniem człowieka.“

„Nikt też nie będzie przeszkadzał zostać w stanie bezżennym tym xiężom, którzy zechcą, gdyby istotnie przyszło kiedyś do tego, iż w naszem duchowieństwie zniosą celibat. Ja już nie jestem młodym, lecz gdybym nawet i był nim, zostałbym w stanie wolnym, gdyż znajduję jakąś rzewną roskosz w tem życiu pomiędzy niebem a ziemią i w tem przekonaniu, iż żyjąc samotnie, żyje się przecież we wszystkich i ze wszystkiemi. Bo pleban powinien szukać towarzystwa, w którem użytecznym być może. A zatem jakiekolwiek mogą być ustawy władz kościelnych i cywilnych, moralność powinna być gruntem każdego stanu i obowiązku, a w każdem powołaniu zostanie człowiek czcigodnym.“

„Czasem zazdroszczę nawet wujowi tego skromnego domku, tego spokoju życia, a nawet tych kwiatów, które wuj pielęgnuje własną ręką do strojenia ołtarzy nie salonów, i tego szczególnie zadowolenia, ktore już nic nie żąda dla siebie na tej ziemi, prócz spokoju i niewinnych rozrywek.“

„Te kwiaty, przeznaczone do ozdoby domu bożego, sprawiają mnie wonią swoją i barwą niewypowiedzianą rozkosz, gdyż są utworem cudownym mego stworcy, którego i najlichszy utwór jest dla nas nieodgadnioną tajemnicą i cudem. Kościół zaś jest moim salonem, miejscem mego popisu i działania, w którem przyjmuję wiele ludzi, częstując ich pokarmem duchownym. Nie sądź więc“ — mówił pleban z miłym uśmiechem — „aby i najuboższy duchowny nie miał komnat złoconych, w których przemieszkuje często, bawi się w licznem i strojnem towarzystwie, może jednak wyjść z nich prosto do nieba.. A prócz tego, synu mój, czyż zapomniałeś, iż jeźli duchowny zrzeka się przyjemności familijnych, czyż przez to samo nie unika on zgryzot przywiązanych koniecznie do miłych nam związków. Ja już nie zapłaczę boleśnie na niczyim grobie. Ojca i matki nie pamiętam, a pierwszą i ostatnią łzę wylałem na grobie twej matki, i wtedy to głęboko uczułem, iż im więcej nas ogniw wiąże z ludźmi, tem więcej chwil bolesnych przeżyć trzeba. Ty Włodzimierzu, jeżeli cię los daleko nie odwoła odemnie, zawrzesz mi zmartwiałą powiekę; lecz nie zapłaczesz na moim grobie, boś niepowinien, mój synu. Przejście moje z życia próby do życia rzeczywistego, spodziewam się nie będzie bolesnem, bom żył sprawiedliwie. Umrę spokojnie, niosąc do grobu tę pociechę, że mój siostrzeniec, to dziecię, które jedynie więcej nad innych kochałem ludzi, zostaje godnym tego przywiązania, przez które może grzeszyłem: oddając większą część czucia tobie, zaprzysiągłszy obdzielać niem w równej części całą ludzkość. Jestto jedyna kradzież którą popełniłem na bliźnich moich.“

Staruszek spojrzał ku niebu, jak gdyby szukał w niem przebaczenia za ten grzech spełniony, a Włodzimierz cisnąc z wdzięcznością do ust zgrzybiałą rękę starca, pomyślał, iż gdyby tylko takie przestępstwa spełniali ludzie, ziemia byłaby niebem.

Nazajutrz rano dzwony kościelne już po raz ostatni oznajmiały przejście jednego z śmiertelnych do wieczności i zapraszały żyjących aby oddać ostatnią posługę zmarłemu. Miano grzebać Szymona Capstrzyckiego. Pogrzeb był lichy co do przyborów;— prosta z jodłowych deszczek malowana czarno trumna, z białym krzyżem na wieku, oto koniec parady pogrzebowej. Ale co do liczby tych co go żałowali, nie tak się rzecz miała. Poczciwy Szymon był lubiony powszechnie, bo nie wypił nigdy kieliszczyny, aby nie poczęstował kogoś drugiego, bo nie przeciągał nikogo za pracę swoją. A kiedy był w lepszym bycie, gościł suto nieraz sąsiadów, aby mieć oko u ludzi. A ubogi dziadek nie odszedł bez kawałka chleba, choćby też i małego, od jego progu.

Pleban miejscowy chociaż się nie spodziewał od ubogich krewnych żadnej nagrody, odprowadził przecież zwłoki Szymona na cmentarz. Zwykł on był

czynić tę posługę choćby i najuboższemu ze swoich parafian. Swojej fatygi i dzwonów nigdy nie żałował. „Mnie nie ubędzie, a i dzwonów także“—zwykł był mawiać, „a że kto posłyszawszy dzwon, zmówi paciorek za umarłego, będzie to na chwałę bogu i na zbawienie nieboszczyka. Byłem pasterzem zmarłego, muszę go też odprowadzić wmiejsce, gdzie już opieka nad nim do samego tylko należy boga.“ Takie były zasady poczciwego plebana.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Odpowiedź na artykuł

„Najnowsza legenda.“

Przed wielu tygodniami podaliśmy wiadomość o wypadku, który w jednym z zakładów dam serca jezusowego miał się wydarzyć. Nie wymieniono jednak przy tem ani miejsca zakładu, ani jakiegokolwiek nazwiska, gdyż cyfra S., mająca oznaczać pewną wychowankę zakładu, jest żadną cyfrą, ile że przypuszczać można, iż w każdym zakładzie wychowawczym znajduje się wychowanka, której nazwisko zaczyna się od głoski S. Ztemwszystkiem otrzymaliśmy za pośrednictwem ob. Puszeta list od przełożonej tutejszego zakładu dam serca jezus., pani *Marie de la Croix*, z prośbą o umieszczenie załączonego w dodatku dzisiejszym oświadczenia, mającego być niby wyjaśnieniem opisanego przez nas wypadku. Jakkolwiek nie wymieniwszy ani miejsca ani czyjegokolwiek nazwiska, nie jesteśmy do tego obowiązani, umieszczamy przecież tem chętniej to nieco zawiłe tłumaczenie, iż ono nastręcza nam uwagę, potwierdzającą publiczne zdanie o niemoralności podobnych jak zakłady dam serca jez. instytutów. Bo z samej gorliwości tego tłumaczenia okazuje się, iż dość jest zmyślić jakiś, według załączonego oświadczenia, we wszystkich szczegółach bajeczny, a nawet żadną nazwą miejsca lub osób bliżej nie oznaczony wypadek ohydny, aby pierwszy lepszy zakład serca jezusowego poczuł się w swojem sumieniu do potrzeby stosowania tej ohydy do siebie i szeroko bez właściwego powodu z niej się tłumaczył. Zaprawdę, jeżeli gdzie, to tu sprawdza się znane przysłowie: „*Qui s'excuse, s'accuse*“— po polsku: „Uderz o stół...“

Obwieszczenie księgarskie.

Niniejszem podaję do publicznej wiadomości, iż przedrukowany przezemnie z upoważnieniem *Regulamin piechoty, kawaleryi i artyleryi, wraz z instrukcyą dla powstańca i służbą obozową*, wydany w 1846 r. w Paryżu przez zaszczytnie znanych z wiadomości strategicznych: Ludwika Mierosławskiego, Józefa Wysockiego i jenerała Sznajdego, już całkiem ukończony został. Tenże obejmuje: 1. Naukę dla powstańca, 32 str.— 2. Przepis musztry i manewrów dla piechoty, 108 str. z 8 tablicami.— 3. Przepis musztry i manewrów dla jazdy, 124 str. z 21 tablicami.—4. Artylerya. Krótka instrukcya odnosząca się do usługi i użycia dział polowych, 56 str. z 2 tablicami.— 5. Służba obozowa, 40 str. z 1 tablicą.— Chcąc ułatwić jak najtańsze nabycie tego w terazniejszem położeniu ojczyzny wielce potrzebnego dzieła, oświadczam, że istniejącą dotąd cenę prenumeracyjną 1 zr. 30 kr. sr. jeszcze do końca tego miesiąca zatrzymam; po upływie tego czasu cena tego dziełka na 2 zr. podwyższoną zostanie. Panów kapitanów Gwardyi narodowej tak tu we Lwowie jak i na prowincyi uwiadamiam, że ktokolwiek się we frankowanych listach z dołączeniem należytości do mnie w prost zgłosić raczy i 10 egzemplarzy na raz zamówi, 11 egzemplarz bezpłatnie otrzyma. Oprócz w moich księgarniach w Tarnowie i Stanisławowie, tudzież u braci Jeleni w Przemyślu, dostać także można tego regulaminu po wszystkich księgarniach w Galicyi.

Zbytecznem sądzę rozszerzać się nad zaletami tego dzieła, bo o tem już znawcy najkorzystniej swe zdanie wyrzekli.

Lwów dnia 10 października 1848 r.

Jan Milikowski, księgarz.

Stroje.

Damskie. Ubior wizytowy. Suknia morowa z stanikiem wysoko zachodzącym, z przodu sznurkami wyszytym; zarzutka z pelerynką w stanie obcisła, rękawy szerokie, wyłożone i obszyte bufką z tej samej materyi; poły okrągłe, po bokach rozcięte. Kapelusz morowy, piórami ubrany. Czepki najwięcej małe, i zaokrąglone przy twarzy, ubrane w liczne kokardy ze wstążek.

Rycina przedstawia. Suknia jedwabna; stanik wysoko zachodzący, do paska, wstążka w pasie z długiemi końcami tego samego koloru co i suknia; spodnica ubrana w trzy falbany. Zarzutka aksamitna, bez rękawów; jestto kroj najmodniejszy, i bardzo lubiony. Druga figura przedstawia surdut na dwa rzędy zapinany, rękawy wolne, stan długi.

W modach mezkich nie zaszła żadna zmiana.

Redaktor odpowiedzialny KAROL SZAJNOCHA. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.

Wyjaśnienie legendy.

Umieszczony w tegorocznym Nrze. 31. czasopisma „Tygodnik polski“ artykuł pod tytułem, “Najnowsza legenda,“ a mianowicie zawarty w nim opis dziwnego jakowegoś zdarzenia, któren zakonne towarzystwo dam serca Juzusowego, lub przynajmniej przełożone onegoż, o bezecny podstęp, w widokach nikczemnej chciwości i to z bezprzykładną śmiałością popełniony oskarża, uchybił całkiem celu swego, o ile autor tej tak zwanej „legendy,„ za pomocą ogłoszenia jej, na umysły osób zgromadzeniu wspomionemu przychylnych działać i takowe na przeciwników jego zamienić sobie pochlebiał. — Całe albowiem opowiadanie to, wydało im się natychmiast takiem, jakiem jest w samej rzeczy, to est: kłamstwem i potwarzą — i dla tego, oprócz słusznego oburzenia przeciw tym, ktorzy wolności druku za narzędzie do tak nieszlachetnej walki nadużywać się nie wzdrygają, żadnego innego w rzeczonych osobach uczucia, artykuł ten nie wywołał, ani też wywołać był zdolny.

Przekonanie o tém powzięły damy Serca Jezuswego już od pierwszej chwili po wyjściu na jaw pamfletu owego, z licznych i dotąd ciągle ponawiających się oświadczeń przyjacioł swoich, połączonych z wezwaniem, aby zakład wymierzonego nań w obec całej czytającéj publiczności zamachu, na takiejże samej drodze odeprzeć nie omieszkał. Jednak Zgromadzenie nie łatwo i nie od razu do tégo nakłonić się dało; uznając najsamprzód już stanowi i powołaniu osób, z których złożone jest, bardzlej być odpowiednèm, na oszczerstwa i obelgi, jakich stają się ofiarą, milczeniem jedynie cierpliwości odpowiadać, a obronę dobrej sławy swojej, panu Bogu poruczyć, niż dla ratowania tejże, w wątpliwe zawsze przed Trybunałem opinij publicznej, zapasy światowym obyczajem się zapuszczać.

Oprócz tego sądziły przełożone zakładu, iż mniemana legenda, tak z wszelkiego wyzutą jest prawdopodobieństwa, tak oczewiste wysnutego i to dosyć niezgrabnie z wyobraźni autora romansu, nosi na sobie cechy, iż nawet dla czytelników, ku Zgromadzeniu obojętnych, lub jemu nieprzyjaźnych, byle tylko osnowę jej w dobrej wierze, i umysłem od namiętności wolnym bliżej rozważyć zechcieli, sama się niejako zbija, a zatem zbijania dalszego nie potrzebuje.

Jestżeż albowiem do uwierzenia, aby podobieństwo rysów między osobami w żadnym chociażby tylko dalekim stopniu z sobą nie zpokrewnionemi, przypadkowo zachodzące, zrządzić było mogło kiedy pomyłkę taką, jaką nam Autor legendy wystawia; a jaka zaledwie o bliźniętach pomyśleć by się dała? Czyliż zwłaszcza przypuścić podobna, aby pomyłka ta trwać była mogła, przez czas dłuższy, a co najbardziej, aby w nią popaść była w stanie matka, obcą i nieznaną sobie panienkę za własne poczytując dziecie?! — Dosyć tu odwołać się do serca każdej matki; niechaj one osądzą, czy powieść takowa za co innego, jak za bajkę wierutną i niedorzeczną uważana być może?

A potém; miałyżby były damy Serca Jezusowego, według skreślonego w legendzie stanu rzeczy, do przypisywanego im tamże zdradliwego postępku rozumny jakowy powód? Oczewiście nie; — bo, skoro przywieziona przez nie z Francyi niby bogata owa pensyonerka z zakładu ich nazad odesłaną być musiała, tém samém zaś nadzieje sowitej nagrody, legatu i dalszych dobrodziejstw, których zgromadzenie od matki owej elewki sobie obiecywało, w niwecz się obracały, to jakaż dla niego większa jeszcze ze śmierci tej panienki wyniknąć mogła strata, do której odwrócenia potrzebaby było, wypadek ten

przed matką zmerłej taić, i na ten koniec ją, przez podsunięcie jej na miejscu córki innego dziecka, w błąd wprowadzać? A jeźli przeciwnie odebranie owej elewki z pensyonatu pokładanych na matce jej nadzieji nie niweczyło, to czemuż niszczyćby je miała była śmierć tej panienki, której przecie przeszkodzić nie było w zgromadzenia mocy? — Chociażby zaś powiedzić, iż chodziło zgromadzeniu o dowody wdzięczności, jakie od wspomnionej elewki, gdyby z zakładu była wyszła, odbierać się spodziewało, i że dla tego, aby tych nie postradać, inna ją zastąpić mająca, podstawioną została, toć znowu jasną jest rzeczą, iż pomyślny skutek takiej intrygi wymagał koniecznie, aby użyta do niej osoba, w odgrywaniu narzuconej jej roli do końca trwając, zagarnęła w skutku tego majątek, któren zmarłej w zakła dzie elewce by był przypadł, a do którego sama żadnego zgoła nie miała prawa. — To zaś przypuściwszy, z kądże rękojmia, iż osoba tak niegodziwie postąpić sobie gotowa, mieć będzie rzeczywiście stałą chęć, zgromadzeniu za otrzymaną z pomocą jego przysługę, w sposób tejże odpowiedni się odpłacić, i czyż nie należało owszem przewidywać, że o tym długu raczej zapomni, lub ob takowego się po prostu wyłamać będzie wolała, a to tem bardziej, gdy czas i miara uiszczenia onego zupełnie jej tylko musiały być zostawione woli. — I dla takiejż to nadzieji miałoby było zgromadzenie służbie Bożej poświęcone, jakiem jest zakład dam Serca Jezusowego, skłonić się do podłego oszukaństwa, które, chociażby już nie z moralno - religijnego, stanowiska, lecz jedynie według prawideł ludzkiej roztropności uważane, ze względu na samą trudność zapobieżenia, aby prędzej czy poźniej odkrytem nie zostało sprawców onegoż na największę niebespieczeństwo ciężkiej odpowiedzialności, a przynajmniej hańby niezmazanej, narażało; przeto więc chyba tylko powabem niewątpliwych i przeważnych korzyści, w razie zachowania tajemnicy na zgromadzenie spłynąć mających, jakokolwiek bądź wytłumaczonem by być mogło?

Te, przy przeczytaniu „nowej legendy“ mimowolnie nasuwające się uwagi powinny by zapewne do ustalenia sądu publicznego o istotnej wartości tej ramoty i odjęcia jej zatem wszelkiego szkodliwego wpływu, same przez się wystarczyć. Zważywszy jednak, iż, na sprawiedliwe ocenienie pisma tego rodzaju, panującym dziś niestety dążnościom, duchowi Towarzystwa dam Serca Jezusowego w brew przeciwnym, tudzież upowszechnionym względem nich uprzedzeniom schlebiającego, ze strony największej liczby czytelników zaledwie rachować można, — że zgromadzeniu milczenie jego w takim razie łatwoby za przyznanie się do winy poczytanem być, w skutku tego zaś, przy dzisiejszem umysłów usposobieuiu, nie tylko członkom jego osobiście ubliżyć, lecz oraz i sprawie, za którą wszelkiemi siłami obstawać ich najświętszym jest obowiązkiem, szkodliwem staćby się mogło, postanowiło zgromadzenie, dogadzając zwłaszcza w tej mierze życzeniom przyjaźnysh sobie osób, przeciwko w mowie będącemu artykułowie Tygodnika polskiego publicznie wystąpić; dla poparcia zaś kroku tego, do powyższych nad treścią onegoż ogólnych postrzeżeń, szczegołowe i ile być może, dowodami stwierdzone sprostowanie mylnie tamże przytoczonych okoliczności dołączyć.

Najprzód bowiem samo przez sie w oczy wpada i dla tego też nikt pewnie ani na chwilę nie wątpił, iż chociaż w tak zwanej legendzie miejsce, do którego treść jej się odnosi, bliżej oznaczonem nie jest, autor wszelako nie inny jak tylko tu w Lwowie dotąd istniejący zakład dam Serca Jezusowego miał na myśli. Wszakże jak to mówią „słyszał że dzwonią, lecz nie wiedział w którym kościele“„ gdy panienkę, której pogrzeb istotnie przed kilku mieciącami w zakładzie lwowskim Serca Jazusowego się odbywał, to jest zmarłą tamże w dniu 18. Maja t. r. Maryę Niezabitowskę, córkę ś. p. Józefa Niezabitowskiego z dziesięcio czyli właściwie siedmio letnią córką pana S., galicyjskiego dóbr ziemskich właściciela pomieszał. Chciał on zapewne mówić o Maryi Sokołowskiej, która w pensjonacie dam Serca Jezusowego w Lwowie także, lecz nie przed kilku miesiącami, bo jeszcze w dniu 21. Maja 1845. do wieczności się przeniosła. Był to pierwszy wypadek śmierci, między wychowankami zakładu tego, od czasu powstania onegoż zaszły. Zdarzeniem tem boleśnie dotknięte zgromadzenie lękało się podobnego wrażenia na, młodych sercach zmarłej współtowarzyszek; zwłaszcza iż do niej jakby do siostry przywiązanemi się okazywały. Dla tego więc umyślono nie odkryć przed niemi zgonu jej, aż po ukończonym, zbyt smutnym pogrzebu obrzędzie; a ponieważ to nie dałoby się było uskutecznić, publiczność do zwyczajnego zwłok odwiedzania przypuszczając, więc z tej przyczyny takowego w ów czas zgromadzenie

wzbroniło; nie zaś, jak w legendzie stoi, na mocy swej reguły; czego też sama publiczność lwowska, przy zwłokach Maryi Niezabitowskiej najlepszy otrzymała dowód.

Rodzice zeszłej w zakładzie S. J. Maryi Sokołowskiej; są to: Władysław i Teresa z Borbowskich Sokołowscy; którzy oboje po dziś dzień żyją i we wsi Barańczyce w obwodzie Samborskim przemieszkują. Jakże więc zgadza się z tem, to co autor legendy panience owej, niby fałszywie za zmarłą obwołanej, lecz rzeczywiście w Paryżu znajdować się mającej, kładzie w usta, jakoby matki już nie miała, jakoby się po utracie matki pocieszyć nie mogła; tudzież twierdzenie wyraźne, iż ojciec jej był wdowcem?

W czasie ostatniej choroby panny Maryi Sokołowskiej, która kilka tygodni trwała, miał ją w kuracyi z nieskazitelnego charakteru powszechnie tu znany lekarz W. Wereszczyński. Na jego więc tu na końcu dodane, a na wszelką wiarę zasługujące świadectwo odwołuje się zgromadzenie, jako:

1. będąc od szkół jeszcze w przyjaźni z P. Henrykiem Borkowskim Pani Sokołowskiej (matki owej pacyentki swojej) bratem, stosunek ten nastręczył mu sposobność, panią tę od dawna poznać;

2. że pani Sokołowska sama wprowadziła go do zakładu dam S. J. (gdzie zwykle innego używano lekarza); a to szczególniej dla znajdującej się tam córki swojej, która wszakże wtedy jeszcze nie była zapadła na tę chorobę na którą umarła, lecz z innych powodów lekarskiej potrzebowała pomocy; że przeto panienkę tę już wtedy w przytomności matki widując, wie z pewnością, iż rzeczywiście była ta ona, to jest Marya Sokołowska, a nie inna, którę potem, śmiertelnie chorującą, w zakładzie S. J. kurował.

3. Że równie i w ciągu tej kuracyi widział chorę w obec Pani Sokołowskiej, która, na naleganie przełożonych zakładu, by córkę, za nim słabość jeszcze górę weźmie, z tamtąd odebrała, odmówiła tego, z powodu odjazdu swego do Rossyi; dodając, iż starania tych pań dziecięciu troskliwość macierzyńskę zastąpić potrafią.

4. Że śmierć tej pacyjentki była nietylko wynikłością nieodzowną obrotu jaki wzięła choroba, lecz że jest nadto faktem tem mniej zaprzeczyć się dającym, gdy P. Wereszczyński chorę tę najsamprzód prawie już konającą miał na swojem ręku, a potem zaś umarłą sam na własne oczy widział; pominąwszy że zwłoki, przed pochowaniem przez lekarza z urzędu na to ustanowionego, oglądane być musiały.

5. Że przed kilku tygodniami, w Samborskiem bawiąc widział P. Wereszczyński przy tej okazyi także i panią Sokołowskę; przy czem przekonał się dostatecznie, że twierdzenie autora legendy, według którego P. Sokołowski, o pojawieniu się córki jego w Paryżu listem uwiadomiony, tamże po nią wyjechać miał, najmniejszej nie ma zasady; a nawet wspomniona pani, treścią artykułu tego zdziwiona i zgorszoną obligowała go wyraźnie, starać się o to, aby tenże publicznie odwołanym został.

Tyle więc na dowód, że P. Marya Sokołowska do Francyi posłaną ani nie była ani być mogła; ponieważ nie lalka zwłoki jej fałszywie przedstawiająca, lecz istotnie ona sama z domu dam S. J. w Lwowie do grobu poniesioną została.

Lecz teraz zapytać się wypada: kiedyż to nastąpił w zakładzie zgon owej z Francyi przybyłej elewki, której to ona niby miejsce zająć miała? jakich to zgromadzenie użyło sztuk, aby śmierć tę, już nie dość przed publicznością utaić, ale nawet z pod kontroli władzy rządowej i kościelnej uchylić; łatwo albowiem każdy z rejestrów publicznych przekonać się może, iż z tutejszego domu dam S. J., odkąd istnieje, dwie tylko pensyonerki, to jest Marya Sokołowska w r. 1845. i Marya Niezabitowska w roku bieżącym (oprócz zeszłej w Sierpniu r. 1847. sześcioletniej ubogiej sieroty Franciszki N.....) jako zmarłe podanemi i pogrzebanemi zostały. Czemuż więc dowcipny Autor legendy zaniedbał opisać, jako zwłoki Pensyonerki z Francyi przywiezionej gdzieś zapewne pokryjomu w ziemię zakopano, może zaś spalono, lub w wodę wrzucono? a przecież opis takowy powieści jego oczewiście więcej jeszcze by był dodał poetyczno-romansowej okrasy.

Uzupełniając pozostawioną pod tym względem w legendzie lukę, damy S. J. chętnie by temi szczegółami ciekawość czytelników same zaspokoić pospieszyły, gdyby to tylko z prawdą pogodzić się dało. Lecz na nieszczęście prawdy w

tem wszystkim jest tylko tyle, z Francyi sprowadziły rzeczywiście z sobą panienkę, która w spensyonacie ich pozostała. Nie była to jednak wcale bogata dziedziczka, ale córka wygnańca polskiego Pana Grothuz; a przy tem miała już la tszesnaście, z czego dostatecznie okazuje się, iż siedmioletnia Marya Sokołowska jej osoby zastępować nie mogła. Z resztą Panna Grothuz, chociaż, przez ojca (nie zaś matką której nie miała) z zakładu odwoływana, wszelako celu życzeń swoich, to jest przyjęcia do samego zgromadzenia dam S. J. w Turynie dopiąć była tak szczęśliwą; a przybycie jej do tutejszego domu, w krótce nastąpić mające, przekona wszystkich, że nie umarła zatem i wyręczycielki przed ojcem nie potrzebowała.

Po wyżej przytoczone okoliczności, o ile na świadectwie moiem są oparte. jako z prawdą żetelną zgodne stwierdzam z tą jeszcze uwagą, iż Pannę Maryę Sokołowske, w zakładzie dam serca Jezusowego w przytomności nie tylko jej matki alę także i w przytomności wuja Pana Henryka Borkowskiego widywałem, a zatem o tożsamości osoby jej wątpić nie mogłem.

Michal Wereszczyński,
Doktor medycyny.

Drukiem Piotra Pillera.